

Adam Miklasz

---

**polska  
szkoła  
boksu**

---

powieść emigracyjna



Kraków 2009

# 1.

## Podróż

Organizm domagał się nowej porcji nikotyny. Dawka zaaplikowana na pierwszym postoju rozplynęła się gdzieś po żyłach i tętnicach, pozostawiając dziwną pustkę, nieprzyjemnie pobudzając i podrażniając mnie jak i wielu współtowarzyszy, którzy nerwowo zerkali na swoje czasomierze. Trzy godziny, pięćdziesiąt sześć minut – wskazywał mój zegarek, odliczający czas ponownego wkroczenia na pokład autobusu po dziesięciminutowej rozkoszy. Umowa między pasażerami a przewoźnikiem przewidywała coczterogodzinne postoje, które, jak utrzymywał nerwowo ssący palce człowiek z tylnej części autobusu, są konstytucyjnym dogmatem, ustawowym wymogiem wobec kierowców i pilotów dalekobieżnych linii międzynarodowych. Jego sąsiad, zwany później Akuratnym, w sposób ironiczny podał w wątpliwość fakt zajmowania się przez Kwaśniewskiego i jego prawników w trakcie tworzenia ustawy zasadniczej tematem niedojaranych klientów firm przewozowych, lecz zrobił to najwyraźniej w kiepskim momencie, gdyż horda wyposzczonych nałogowców rzuciła się na niego niczym na zwierzynę i, nie uciekając się do żadnych eufemizmów, potępiła jego stanowisko. W końcu autokar dostojnie zjechał na podziurawione

pobocze obskurnej przygranicznej stacji benzynowej i, gdy rozchylił wrota, opróżnił się ekspresowo. Wszyscy mieli bowiem świadomość przemijającego czasu, zwłaszcza tak krótkich dziesięciu minut, które biorąc pod uwagę inne niż nikotynowe, lecz równie ważne potrzeby człowieka, nie były, co tu kryć, jakąś łaskawością niebios. Zapalając pierwszego papierosa i martwiąc się, czy pozwoli na drugiego, rozglądałem się wokół. Twarze krajanów znużone podróżą, usta łączywie wciągające tytoń, w przerwach między wciąganiem wyraziście ziewające, ich sylwetki zaabsorbowane koślawymi gimnastycznymi przeciągnięciami i przysiadami – wszystko to nie wskazywało zupełnie, że mamy do czynienia z przyszłymi dumnymi konkwistadorami Wysp Brytyjskich, realizatorami amerykańskiego snu o nośnym haśle „od pucybuta do milionera”.

Ci bardziej konsekwentni wykonywali nakreślony przez ostatnie trzy godziny jazdy plan o wypaleniu przynajmniej dwóch papierosów, niektórzy jednak rezygnowali z niego, korzystając z okolicznych krzaków, „boć przeca kibel za złociszcza to, panie, rozbój w biały dzień!”. Po krótkim postoju, w trakcie oczekiwania na następny, każdy w ciszy i spokoju zaprzętał sobie głowę innymi problemami: „Czy przewiozę dwie ramy przez granicę?”, „Czy będzie ta robota, tak jak Zenek opowiadał?”, „Czy przyjedzie szwagier pod dworzec, bo przecież jak ja się dogadam?”, „Czy wujo po dziesięciu latach rozłąki z krajem rodzinnym zorientuje się, że zamówiona wódeczka trochę chrzczona; no trzeba było się jakoś z kolegami pożegnać...”.

Po szczęśliwym przekroczeniu granicy niemieckiej postanowiłem uciąć sobie drzemkę. Nie byłem w tym osamotniony, wszak czerwone kreski zegara elektronicznego, znajdującego się tuż nad głową pilotki, wskazywały 22.05. Nie minęło jednak nawet pięć minut, a plan zupełnie spalił na panewce – z ledwo rozpoczętej drzemki wyrwał nas przestraszony głos pilota. Tak,

stało się! W trakcie postojowych konwersacji o niczym niektórym uświadomieni pasażerowie z trwogą wspominali o dokładnej kontroli granicznej, o pechowym co dziesiątym autobusie, bardzo precyzyjnie przeszukiwanym przez niemieckich celników. Wyglądało na to, że ten szczęściarz z opolskimi numerami, przekraczający granicę tuż przed nami, był dziesiąty. Zboczyliśmy na małą asfaltową uliczkę, wjechaliśmy do jakiegoś lasku i gdy zobaczyłem w mroku celnika o aparycji rzeźnika, który groźnym *halt* i *schnella* zachęcał wszystkich do opuszczenia pojazdu, przypomniałem sobie opowieści babci i dziadków o okupacji, przez które jeszcze do dziś snią mi się skradające się w gęstwinie lśniące hełmy esesmanów. Rozpoczęło się wnikliwe przeglądanie bagażu, otwieranie całego dobytku, przymusowe dzielenie się ze współtowarzyszami rozmiarami staników, preferencjami kulinarnymi czy kosmetycznymi, świecenie latarką po oczach, żarciu, termosach czy gaciach. Na celowniku hurtowo przewożone przez rodaków papierosy. Jedna rama i ani szluga więcej. Rekwirują. Na dodatek, za każdą nielegalną paczkę wlepiają karę w wysokości trzech euro. Dobrze znając sposób myślenia i emocjonalność Polaków, spodziewałem się jakiejś rewolty czy przynajmniej zamieszek. Byłem zatem zaskoczony, gdy z knajackim, lekko ironicznym uśmiechem karnie ustawiali się w wężyku. Ja również sztucznym grymasem markowałem zdenerwowanie. Celnik z wprawą zinwigilował zawartość mojego podstarzałego, więc pewnie podejrzanego, plecaka i, znalazłszy w nim dozwolony karton papierosów, trochę ciuchów i prowiant, rzekł autorytarnie: „Gehe!“. Wtedy, wymacawszy w głębokiej kieszeni kurtki nietknięte kilka paczek, poczułem się prawie jak zawodowy przemytnik.

– Eeee... trzy euro, nie jest tak źle! – mruknął tajemniczo jeden ze szczęśliwców stojących ze mną po drugiej, lepszej

stronie barykady. – Mogło być gorzej. Bałem się, że o ten spirytus będą się rzucać...

Faktycznie, mógł uznać się za farciarza, innym nie poszło już tak dobrze. Jakaś pani wiezie trzy kartony więcej. To już dziewięćdziesięcioeurowy mandacik. Rekordzista, stojący rząd za mną, sześć nielegalnych wagonów. „Wiel, zu viel!” – tłumaczą wściekli celnicy i wlepiają sto osiemdziesiąt europejskich. Przemysłownik odchodzi niewzruszony. Sплюwając, stwierdza z wielce zadowoloną miną, że podał skurwielom stary adres zameldowania i że jego była szanowna małżonka bardzo się zdziwi. „Mogła się kurwa nie rozwodzić!” – dodaje filuternie starszy siwiejący pan z brzuszkiem, wyraźnie zadowolony, że nie zarekwirowali mu dwóch słoików kielbasy wiejskiej w jelitach, zalanej smalcem ze skwarkami w pasztetowej formie, i że celnik otworzywszy to kulinarne чудо, tylko lekko się skrzywił. Łupili jednak bez miłosierdzia, a prawie każdy pasażer miał coś na sumieniu. Kręcili ze zdziwieniem głowami, oglądając raz po raz kilogramy pasztetów i konserw, które po pewnym czasie okazały się już zupełną nudą w porównaniu do innych dziwactw, oglądanych i prześwietlanych przez wrażego Hansa, a świadczących o wybitnej wręcz inwencji kulinarnej Polaków. Bo czegoż to oni nie wieźli!? Co raz to słyszałem tubalny baryton, podejrzliwie i dość agresywnie pytający: „Was ist das?” i pełne ciepła odpowiedzi: „Das ist rydzel!”, „Das ist mąka!”, „Sznyceln!”, „Kotleten!”, „Bigosen!” i znowuż to pełne rozpacz pytanie: „Was ist monka???” itd. Z uznaniem witaliśmy dochodzących szczęściarzy, mających kontrolę już za sobą, obserwowaliśmy ich wesołe twarze i z zaciekawieniem słuchaliśmy, gdy rozentuzjasmowani opowiadali, jak to Szwab zrobił gały na widok królika w galarecie, że idiota nie wiedział, co to „szmalcen mit skwarken”, i gdy z dumą stwierdzali, że ogólnie tak pysznych i naturalnie preparowanych smakołyków, jak

wątróbka zalana mleczkiem prosto od krowy, to oni nie mają i że temu większemu to ślinka ciekła, gdy zobaczył kaszanke wiezioną na zamówienie zięcia z Glasgow. Być może starszemu ciekła, nie wiadomo jednak jak z młodszym, gdyż właśnie wymiotował. Cała zabawa trwała cztery godziny, lecz o dziwo my, ofiary, bawiliśmy się coraz lepiej, integrując się i gaworząc o specyfikach polskiej kuchni ludowej, natomiast Niemcy powoli rezygnowali ze szczegółowej kontroli i w końcu, machnąwszy ręką, dali pozwolenie do odjazdu. „Frajerzy!” – skwitował pan od wątróbki i wsiedliśmy do autokaru. Nadszedł czas snu.

Sen, jak wszystko w życiu, może być przyjemny i nieprzyjemny. Paradoksalnie wolę te koszmary, po których człowiek budzi się zlany potem i czerwony z przerażenia. Jakaż to przecież ulga, gdy po kilku sekundach szoku orientujesz się, że fikcyjny wróg, strzelający do ciebie zza rogu, czy też horda goniących cię zbirów to jedynie mara! Gorzej, gdy budzisz się omamiony szczęściem, bogactwem, rozpustą, po czym widzisz przed sobą kapiącą, zardzewiałą rurę, krople deszczu pukające w szybę i zegar zmuszający cię do powstania i spędzenia kolejnego szarego dnia twojego życia. Ten sen związany był ze wspomnieniem wszystkiego, co zostawiłem w Polsce, w Krakowie, na Kazimierzu. Pamiętam, że ogarnął mnie jakiś strach przed nieznanym, lęk przed destabilizacją połączony z olbrzymią tęsknotą za przeszłością. Przypomniałem sobie miejsce, będące moim największym życiowym szczęściem i nieszczęściem zarazem. Przypomniałem sobie „Smugę”.

Przygoda ze „Smugą” zaczęła się od pojawienia się na Kazimierzu starszego, dziwaczного pana w tweedowej marynarce i dość śmiesznym kaszkieciku. Szumann był przedwojennym właścicielem jednej z kamienic i, co oczywiste, postanowił

zainwestować, otwierając na parterze bar. Nie pamiętam już, jak zaczęła się nasza znajomość, pamiętam tylko, że w trakcie jednej z rozmów udało mi się zainteresować go pewnym pomysłem. „Bomba, doskonale, chłopcze, czujesz bluesa!” – krzyknął wtedy euforycznie Szumann, a ja przez chwilę pomyślałem, że to facet niespełna rozumu. Z pozycji zakompleksionego szczyła, znającego świat jedynie ze srebrnej skrzynki stojącej na szafce i kilku książek o podróżującym Tomku, zacząłem podejrzewać faceta o naigrzanie się ze mnie. Jaki człowiek o zdrowych zmysłach w sposób tak ekstatyczny reagowałby na dziwną propozycję, aby w knajpce zainstalować trochę zdezelowanych rupieci codziennego użytku, tym bardziej iż moje wybitnie nieudolne exposé – zapewnienia, że „to będzie współgrać może”, że „dziurawe wiadro doda uroku może”, a „drewniane drzwi do kibla z wyciętym serduszkiem to będzie nisza może”, z ciągłym defensywnym „może” w wygłosie – zapowiadało skrajnie inną reakcję. Szumann jednak podjął temat i zlecił telefonicznie podwładnym tournée po małopolskich targach antyków w celu zakupienia odpowiednich sprzętów. Teraz ja wkroczyłem do akcji.

– Panie Szumann, po co od razu kupować, u nas na strychu pełno tego badziewia!... – mówiłem pełen entuzjazmu.

Tak rozpoczęła się długoletnia znajomość z właścicielem lokalu „Smuga”, w którym zostałem zatrudniony na stanowisku barmana i który był moim największym szczęściem. Szczęściem, zaczynającym się pierwszym rozlanym piwem, pierwszą konwersacją z przygnębionym pijanym klientem, drzemającym przy barze i pijącym wódkę ze stugramowego stakana, pierwszym wyrzuconym z knajpy za zakazaną akcję pt. „fruwające kufle” lub strzelane ukradkiem podstoliny i przede wszystkim pierwszą wypłatą. Bardzo szybko uświadomiłem sobie, że kunszt barmański polega nie tylko na sprawnym preparowaniu drinków czy

szybkim opanowaniu działania kasy fiskalnej, co zresztą udało mi się błyskawicznie, lecz także na stworzeniu jakiejś niemal metafizycznej aury, umiejętności wykorzystania nawet najkrótszego dialogu przy barze do kreacji wizerunku osoby, kompetentnej, dowcipnej, szarmanckiej i lekko zblazowanej. Barman wówczas postrzegany jest jako odpowiednia osoba na odpowiednim miejscu, natomiast po uzyskaniu wśród gości niepisanej akceptacji kolejną sztuką jest wycucie momentu do podjęcia dialogu, dłuższego niż zdawkowy, dzięki któremu osoba przychodząca raz czy drugi poczuje się sielankowo, lepiej niż w domu, przyprowadzi znajomych i, sadzając ich przy stoliku, przeprosi ich uprzejmie, wskoczy na krzesło, zamówi kielicha i utnie pogawędkę z barmanem, zerkając niczym bóg z Olimpu na wpatrzonych nań z zachwytem przyjaciół. Barman nie może jednak pozwolić sobie na zbytnią poufałość i otwartość wobec nowo poznanego, będąc trochę jak piękna kobieta, której największą satysfakcją sprawia bycie zdobywaną, która dla własnej frajdy przeciąga moment pierwszego pocałunku. Byłem niczym taka właśnie kobieta! To przecież barman rozdaje karty, zna granicę, której niepisany kodeks barmański przekroczyć nie pozwala. Klienta, który ją bezczelnie narusza, traktuje wtedy bardzo szorstko. Aż dziw bierze, jak szybko z kompletnego żółtodzioba przeobraziłem się w wytrawnego socjologicznego gracza, obnażającego konstrukcję psychologiczną gościa i często podświadomie swym stosunkiem dokonywałem selekcji osób wizytujących „Smugę”. Dzięki temu atmosfera w lokalu stała się bardzo rodzinna, a grono stałych bywalców stopniowo powiększało się. Lecz ze wszystkich napotkanych gości najbardziej zbliżyłem się z trzema zupełnie różniącymi się od siebie facetami, z którymi po pewnym czasie stworzyliśmy czwórkę bliskich i oddanych sobie przyjaciół. To właśnie w czwórkę byliśmy autorami awangardowej inicjatywy, która stała się największym nieszczęściem „Smugi”.



Felo, zwolennik łączenia kultury niskiej z wysoką, zaproponował zorganizowanie wystawy pt. *Dwie drużyny – jedna sztuka*. Miała dotyczyć prac artystycznych, fotografii, obrazów i grafik opiewających wielkość dwóch klubów piłkarskich Krakowa: Cracovii i Wisły. Musieliśmy jednak naprędce zmienić tytuł całego projektu za sprawą wybuchu gniewu Szymka, naszego przyjaciela z Nowej Huty, który poczuł się urażony i krzyczał wulgarnie o dyskryminacji. Projekt *Trzy drużyny – jedna sztuka*, dotyczący trzech klubów piłkarskich Krakowa: Cracovii, Wisły i Hutnika, został zaakceptowany i namaszczony przez Szumanna, który na dodatek udostępnił trochę środków finansowych na lepszą organizację przedsięwzięcia. Dzień wystawy zapamiętamy długo, nie przewidzieliśmy bowiem tak wielkiej frekwencji i nie wyczuliśmy nadciągającego huraganu. Nie przyszło nam po prostu do głowy, że *Trzy drużyny – jedna sztuka* stanie się pretekstem do jednej z największych bitew w historii Kazimierza, że „Smuga” stanie się pobjowiskiem, na którym hordy kibiców rozwiązywać będą swoje nieugaszone waśnie, demolując i rozkradając wszelkie dobra. Własnymi siłami próbowaliśmy przywrócić później „Smugę” do stanu wcześniejszej świetności, bojąc się spojrzeć Szumannowi w oczy, w miarę możliwości odtworzyliśmy wewnątrz, straty były jednak przeogromne i woleliśmy nawet nie myśleć o straconych dziesiątkach tysięcy złotych. Byli klienci przerażeni bitwą rzadziej odwiedzali naszą knajpkę, która stała się smutnym i bezdusznym miejscem. Szansę na spłacenie honorowego długu dał nieoceniony Felo, który w miejsce wracającej właśnie narzeczonej Kasi wyjeżdżał do Anglii, aby zarobić na wesele. W majowy wieczór oglądaliśmy na dworcu autobusowym skupioną i zadumaną twarz Fela.

– Trzymajcie się, przyjaciele! – krzyczał. – Wszystko załatwię, rozeznam się, spokojna wasza nieuczesana! – machał przywódczym gestem. – A w grudniu zapraszam na weselicho!

Tylko pamiętajcie o umowie – każdy wykląda na „Smugę” po 500 funtów!!!

Miesiąc później zimny czerwcowy poranek żegnał Berniego. Roześmiana blondwłosa czupryna przypominała z pokładu autokaru:

– Nie zapomnijcie o jednym wagonie, ale koniecznie mal-borasów, bo inne tam podobno nie chodzą! I weźcie jakąś kiełbasę. Fifty-fifty się podzielimy! Nie krzyw się tak, Metys, jestem za cztery miesiące!

Autobus ruszył, ale z oddali było słycać jeszcze coraz bardziej stłumiony krzyk o spirytusie od jakiegoś Heńka, który po rozmajeniu i zaprawieniu można sprzedać jako polską cytrynowkę...

W lipcu, o szóstej rano dotarliśmy na dworzec jeszcze pijani, a już prawie skacowani.

– Pokażę skurwysynom, jak Polacy robią! Wszystkie laski, kurwa, wyrwę! Nic ci nie zostawię, zobaczysz! Hedonizm, kurwa, to teraz moja maksyma! Nie wracam już do Polski, zostaję królem wyspy! – odgrażał się wtedy całemu światu pijany Szymek.

Obudził mnie jakiś straszliwy wrzask rozstrzeliwanego robota, który zerwałby ze snu nawet niedźwiedzia w Tatrach w środku zimy. Za oknem świeciło słońce, a dzięki znakom drogowym szybko zrozumiałem, że znajdujemy się w Belgii. Trudniej było jednak na włączonym ekranie telewizora zlokalizować sprawcę wydobywającego się z głośników ryku. Spojrzawszy na ekran, zrozumiałem, że mam do czynienia z jakąś amerykańską produkcją, której akcja umiejscowiona jest w odległej przyszłości, w fikcyjnym, zagadkowym miejscu. Okazało się, że zawył robot, a były to ostatnie wydane przez niego dźwięki, został bowiem chwilę potem rozstrzelany przez długowłosego

bohatera, ratującego świat przed zagładą. Fabuła wydała mi się jakoś dziwnie znajoma.

Wszyscy współpasażerowie widocznie również znali ten film, bo podobnie jak ja zajęli się innymi czynnościami, m.in. przeglądaniem prasy. Dzięki niej doszło do kolejnej przyjemnej integracji środowiska autokarowego – wymiany przeczytanych już numerów. Skwapliwie z tego skorzystałem po nudnej i zdawkowej konwersacji o niczym z siedzącą obok pięćdziesięcioletnią panią. Gusta były wyraźnie zróżnicowane, szczególnie gdy przyjaźnie nastawieni do siebie panowie w późnośrednim wieku, którzy dotychczas z obopólną satysfakcją wymieniali poglądy o niedostatku kultury wśród młodego pokolenia, o futbolu i motoryzacji, nagle odkryli tragiczną prawdę, wyciągając z bagażu podręcznego ulubione tytuły. Gdy skromny pan z bródką, czytając czołówkę „Naszego Dziennika”, zerknął dyskretnie w bok i zobaczył swego kompana wczytanego w nagłówki gazety „Nie”, poczuł się z pewnością niczym zdradzony kochanek z wypisanym w smutnych oczach wyraźnym „a jednak!”. Obaj panowie byli tak pozytywnie nastawieni do siebie, że po chwili szoku, rozczarowania i nieufności wznowili dialog.

Zróżnicowanie prasy było jednak wielkie, oprócz gazet codziennych na wymianę ruszyły też tygodniki lub nawet miesięczniki specjalistyczne. Z jednej z gazet, z artykułu zatytułowanego *Przyjemne chwile u zlewu*, dowiedziałem się, jak powinienem wyposażać zlewozmywak, jeśli chcę spędzać przy nim naprawdę przyjemne chwile, z kolei inny tygodnik w umiejscowionej na drugiej stronie rozprawce pt. *Mięsny sukces* wyczerpująco zajął się nurtującym wszystkich tematem udanego bajcowania mięsa. Zaintrygowała mnie również spowiedź znanej, dobrze zapowiadającej się aktorki, której wynurzenia, opatrzone wielce obiecującym nagłówkiem *Wstydyłam się dziewictwa*, zainteresowały wielu. Największym powodzeniem cieszyła się gazeta

o profilu wybitnie sensacyjnym, dzięki której właściciel, niepozorny Stachu z trzeciego rzędu, stał się na moment najbardziej rozchwytywaną partią, pępkiem autokaru, któremu oferowano kanapki, a nawet piwo za udostępnienie czasopisma, co kwitował charakterystycznym dla siebie skromnym uśmiechem i wyrafinowanym dowcipem powtarzanim przy każdej propozycji: „Choljerka, to może rzuć pan piątaka zamiast tych kanapek...”. Artykuł, który przebił popularnością tak znaczące tytuły na polskim rynku medialnym, jak choćby „Wprost”, „Gazeta Wyborcza” czy „Rzeczpospolita”, miał jak na prasę brukowo-sensacyjną mało enigmatyczny i tajemniczy tytuł – *Zwykła noc na Mazurach*. Opowiadał o pięćdziesięcioletniej Grażynie, przeciętnej i niczym niewyróżniającej się wczasowiczce, która pewnego wieczoru chciała zażyć samotnej kąpieli w jeziorze, gdzie – jak wynikało z wielce poetyckiego opisu – pięknie odbijał się księżyc. Po krótkiej zadumie nad urokami mazurskiej przyrody autor skupił się na szokujących faktach, czyli losie zwykłej i niczym niewyróżniającej się wczasowiczki Grażyny, zgwałconej niespodziewanie przez Marsjan. Reportażysta zadał sobie wiele trudu. Dokonując rozeznania wśród lokalnej społeczności i wywiadując się o cyklicznych wszeteczeństwach rozpustnych kosmitów, gustujących głównie w trzydziesto- i czterdziestolatkach, zdobył pierwszą stronę gazety. Niczym dziewiętnastowieczny naturalista dokonał szczegółowego opisu aktu gwałtu i miał takie szczęście, że biedną, naga, acz bardzo dorodną Grażynę pokrywaną przez trzy małe dziwne istoty udało mu się sfotografować! „To chyba jakieś bzdury!” – rzekł odkrywczo pan od *Przyjemnych chwil u zlewu*. Większość była podobnego zdania, dziewczyna od „Gali” zwróciła uwagę na wąża i dziwną bliznę pod okiem jednego z kosmitów, który przypominał jej ojca, a że pochodziła z okolic Kętrzyna, stwierdziła wulgarnie, nie bacząc na czwarte przykazanie, że ten

stary lump znowu dorabia na wino. Pan od „Naszego Dziennika” zastanawiał się głośno nad sensem publikowania takich zdjęć, natomiast grubas od „Nie”, zachowując niespodziewanie najwięcej wiary w zjawiska nadprzyrodzone, stwierdził, że gdy wracał o drugiej w nocy do domu, zobaczył koło lasu na górcie białą zjawę goniącą młodą dziewczynę i już ruszył ratować biedną białogłowę, lecz jakieś nieznane siły kazały mu biec na skrót, przez co wpadł do rowu.

– Takie kity to pan żonie wstawiaj, jak pan pijany do domu wracasz! – krzyknął wyzywająco jeden z niewiernych Tomaszów, z czego wynikła drobna sprzeczka, którą rozładował Akuratny, po raz kolejny podając w wątpliwość wiarygodność artykułu.

– Oni piszą, że zgwałcili ją Marsjanie? A skąd wiedzą, że to akurat Marsjanie? Czy wiadomo jak wyglądają Marsjanie? Czy istnieje jakiś wizerunek typowego Marsjanina sprawdzony naukowo? A może to byli przybysze z Jowisza albo nawet z innej galaktyki? Artykuł jest nieścisty! – spuentował w końcu triumfująco, bo zgodzili się z nim wszyscy, powtarzając z aprobatą „no właśnie, no właśnie!”. I tak, razem z kosmitami i biedną, zhańbioną przez dziwne postaci Grażynką, wjechaliśmy na prom relacji Calais–Dover.

Coś szczególnego ciągnęło mnie na górę. Chciałem stanąć na górnym pokładzie promu, w zaciszu oglądać znikającą powoli industrialną zabudowę francuskiego nabrzeża i, otwierając zakupione w strefie bezcłowej piwo, poczuć na twarzy powiew chłodnego zefirka. Czekać cierpliwie i wypatrywać słynnych białych skał w okolicy Dover, słuchać nastrojowego śpiewu latających nad głowami mew. Coś szczególnego ciągnęło tam nie tylko mnie. Wspinając się po żelaznych schodach i osiągając wreszcie górny pokład, zobaczyłem znajomą grupę z autokaru. Wszyscy z rozwianymi na wietrze włosami i puszkowymi piwami w łapskach spo-

glądali z zadumą na oddalający się brzeg. Dołączyłem do nich. Ledwie parę minut wystarczyło do finalnej integracji jeszcze kilkanaście godzin temu nieufnie na siebie spoglądających ludzi. Wszelkie lody stopniały, przyjemna, choć wietrzna aura, smaczny i na dodatek tani alkohol otworzyły słowiańskie serca i słowiańskie dusze. Skąd ta nagła wylewność, bliskość nawet? Alkohol? To rozwiązanie brzmi trochę banalnie, pachnie tandetą, na ten temat wylano już wiele atramentu i powiedziano chyba wszystko. Między ludźmi panuje rodzaj obojętności, nawet w stosunkach koleżeńskich istnieje pewien dystans, który pęka jak bańka mydlana po pierwszym brudziu, poprzedzającym zazwyczaj gęstą libację. Poziom zaufania wzrasta wówczas niebotycznie, stajemy się sobie bliżsi. Jest to praktykowany przez pokolenia rodzaj ceremonii zbliżenia, wtajemniczenia, wspólnego przeżywania, podniesionego niemal do kategorii sacrum picia, zawierania niepisanego przymierza z kieliszkowym pobratymcem i wynoszenia znajomości na wyższy stopień. Zwrot „Piłem z nim nawet!” jest dumnym zaznaczeniem dobrej znajomości z kimś z wyższego szczebla drabiny społecznej. „Taka świnia, a ja z nim wódkę piłem!” – oznacza zwielokrotnione uczucie zawodu w stosunku do jakiejś osoby, której zaufaliśmy. Sformułowanie „Ty nawet pić nie umiesz!” jest brutalną potwarzą, wielce pogardliwym epitetem, na który obrażony reaguje w taki sposób, w jaki przedstawiciel kultury śródziemnomorskiej na słowo „rogacz”, a anglosaskiej – „matkojebca”. W każdym z nas jest młodzieniec anarchista, chcący wyrwać się czasem z ram współczesnej cywilizacji, konwencji przyjętej przez świat filistrów. Pijąc, czujemy się jak małe urwisy, kradnące ukradkiem babci miód ze słoika czy popalające z kolegami papierosy podwędzone ojcu. A że wspólne wykroczenie czy hultajstwo najbardziej zbliża ludzi, następnodniowe „Jak się czujesz, bracie?” połączone z odpowiedzią: „Wstać nie mogłem, tak mnie dyńka...” i okraszone łobuzerskimi, pozornie ukrywanymi uśmiezkami

jest końcowym etapem poznania, wspólną tajemnicą, wspomnieniem sekretnych świąstw, mówionych sobie w alkoholowym szale, zwierzeń i rzeczy, których nikt nigdy by nie zrobił i nie wypowiedział w stanie trzeźwości. Dlatego polska część załogi promu po spożyciu niewielkiej ilości złocistego lub przezroczy-stego płynu dojrzała do ostatecznej integracji. Każdemu w trakcie konsumpcji rozwiązał się język wbrew wcześniejszemu postanowieniu, żeby nie wychylać się, bo przecież Polak Polakowi wilkiem. Niejeden zapominał o wielkiej tajemnicy, którą były zakupione jeszcze w kraju funty, ukrywane w specjalnie spreparowanych wewnętrznych kieszonkach spodni, koszul czy nawet butów. Ci słabogłowi po kilku nurach zaczęli się nawet tymi kieszonkami chwalić. Wszyscy w tej jednej godzinie byli dla siebie wręcz przesadnie mili, wiedzieli bowiem, że łączy ich w sumie jedna idea oraz wspólna chwila na górnym pokładzie. Każdy szczerze przedstawiał cel wyprawy, reszta kiwała głowami i bez zbędnych dodatkowych pytań przyjmowała wszystkie opowieści z taktownym i jednogłośnym zrozumieniem.

Drobny przedsiębiorca z Radomia z długimi spiętymi blond włosami, w dżinsach, skórzanych butach na koturnach i w białej, dość eleganckiej koszuli rzekł:

– Kumpel z roboty, to jest, pardon, z eksroboty, wyjechał kilka lat temu. Ja się uparłem, myślę – nie! Po co mi wyjeżdżać, tu posiedzę, tu coś dokonam... Frajer byłem. Ruszył mały biznesik, z początku jakoś szło, wiązało się koniec z końcem, żyło się od przysłowiowego pierwszego do pierwszego, ale coraz więcej, panie, płac – tu ZUS-y, tam srusy... Podatki mnie wykończyły! Siedzą nieroby, dupskiem ruszyć się nie chce, tylko po państwowe by łapska wyciągali. Tylko więcej i więcej! A ty, panie, płac i płac... i po biznesie będziesz miał!... Złodziejskie państwo!

– Tak, tak – przytaknął tłum zmartwionych. – Złodziejskie... złodziejskie...

Wesoły, prawie pięćdziesięcioletni rodak z krótko przystrzyżonym siwym wąsem jechał do Anglii już trzeci raz.

– Wicie, ja bym tam mógł w Polsce siedzieć, ale po co? Robotę mi szwagier w Londynie załatwił, trzy miesiaki człowiek porobi, wróci na swoje i żyje! Małżonka zagaja czasem, żebym se robotę w kraju znalazł... A na kiego mi robota, jak ja w Londynie zarobię, bezrobocie wezmę i się mogę po brzuchu drapać... Może nawet rentę w tym roku załatwię, znajomego lekarza mam... U nas się nie opłaca robić...

– Nie opłaca, nie opłaca... – przytaknęła zgodnie reszta rodaków.

– Po co to wszystko?... Po co?... – zatroskali się wszyscy wielce, a najbardziej rubaszny Stachu, usiłujący trafić śliną w peta, którego po każdej udanej próbie rozgniatał butem. Wszyscy trochę zadumani, trochę zaniepokojeni dzierżyli w grabach piwa tej samej marki, stanowiącej najkorzystniejszą ofertę sklepu bezcłowego. Tak kalkulować potrafią tylko Polacy. Solidarnie opróżniają puszki z tej samej serii. Niechby tylko ktoś się wychylił! Za drogie piwo – burżuj, frajer, przepłaca! Za słabe – cienias, słabeusz. Ale oprócz sączącej drinka studentki nikt nie wystąpił z szeregu.

Po powrocie do autokaru powoli przyzwyczajałem się do ruchu lewostronnego. Coraz bardziej niepokoiłem się. Przyjdą czy nie przyjdą? Może przyjedziemy za wcześnie i gdzie ja ich wtedy znajdę? Wątpliwości szybko rozwiął dworcowy wiatr. Pozbyłem się obaw, gdy dostrzegłem w Buckby bujną, lśniąco jasną lwia czuprynę Berniego. Wysiadłem czym prędzej.

– Teraz wszystko w twoich rękach, bracie! Kiedy trzeba – rusz łapami, kiedy trzeba – mózgiem! Trzymaj się, bracie! – krzyczał na pożegnanie takie i podobne mądrości podchmielony już lekko, lecz sympatyczny pan Stachu. Wyciągnąłem plecak i pomachałem mu. Autokar odjechał.



Anglia powitała mnie piękną, słoneczną letnią pogodą. Szedłem pomiędzy rozgadanym Bernim i Felem, czułem się niewiarygodnie podekscytowany, a moja ekscytacja połączona była z pewnym oszołomieniem. Stałem na łądzie, który do tej pory znałem z historii, opowieści, filmów, przeróżnych map bądź atlasów, i miałem jakieś wrażenie inności. Podniecałem się charakterystycznymi domkami, łąpczywie chłonałem każdy element krajobrazu odróżniający go od dobrze mi znanych. Przede wszystkim typowo wyspiarskie niebo z nieprawdopodobnym natężeniem tych przeróżnych cirrusów, cumulusów i cumulonimbusów zawieszonych chaotycznie na nieboskłonie. Czułem się osaczony zewsząd zieleńią o różnych odcieniach, intensywnym kolorem drzew, trawników, ogrodów, ta eksplozja barw wydała mi się czymś ponadprzeciętnym. Z drugiej strony czułem rozczarowanie. Znalazłem się w miejscu tak oddalonym od Polski, Krakowa, Kazimierza, w państwie, w którym pobyt wydawał się dla mnie jeszcze niedawno tak odległy jak podróż po innej galaktyce, szybko jednak poczułem się jakoś swojsko, miałem uczucie pewności, wszystko wokół po chwili wyglądało jakoś naturalnie, banalnie i codziennie.

Z tych dziwacznych rozważań wyrwali mnie co chwila, nie dając jakoś usystematyzować myśli, Berni z Felem. Spacer z centrum miasta do miejsca zamieszkania przyjaciół, znajdującego się w sielankowej dzielnicy Cravestone, trwał około dziesięciu minut. Rozpakowałem się w pokoju niewiele większym od luksusowej budy dla psa. Berni z Felem rozłożyli cały swój dobytek na jakichś dwóch metrach kwadratowych, pozostałą powierzchnię podłogi przeznaczając na moje łożo, składające się z dwóch koców, śpiwora i kolejnych koców będących nieudolną atrapą poduszek. Berni pochwalił się przepięknym ogrodem – znakiem firmowym domu przy St. Philips Avenue – o którym rozpląwał się gęsto podczas angielsko-polskich rozmów telefonicznych. Usiedliśmy więc na

białych plastikowych krzesłach, przy białym plastikowym stoliku z parasolem Coca-Coli, nad nami świeciło słońeczko, obok kwitły kwiaty, przynieśliśmy z lodówki chłodne piwka i poczułem się wtedy jak w spełnionym śnie prowincjonalnego dorobkiewicza. Zapoznałem się z parą współlokatorów mieszkających w pokoju obok. Byli wyraźnym zaprzeczeniem pojęcia miłości, tej szalonej, namiętnej i wiecznej. Ich związek wynikał z doraźnych potrzeb obojga, był umownym układem społecznym, paktem, dzięki któremu obie strony wynosiły konkretne korzyści. Kelly, około dwudziestoletnia Angielka, była absolutną negacją pojęcia kobiecego piękna, przynajmniej tego kanonu serwowanego przez telewizję i kolorowe czasopisma, jedną z tragicznych ofiar rozdartych między siłami MTV i McDonald's, która postawiła wyraźnie na hamburgery, nie zaniechawszy marzeń o tym pierwszym świecie.

– Jak myślisz, ile waży? – Berni był jak zwykle obcesowy. – Daję ze sto dwadzieścia! – dodał, przerwał jednak szybko te złośliwe komentarze, widząc zniesmaczoną minę Fela.

Jej chłopak, Indrit z Albanii, wyglądał przy niej niczym piętnastoletni chłystek, choć naprawdę wiosen miał nieco więcej. Był sympatycznym chudzielcem o bladej cerze, bardzo czarnych krótkich włosach i zadartym nosie, przez co przypominał nieco komikowego Tytusa. Można było go jednak określić mianem śródziemnomorskiego przystojniaka. Co więc łączyło tę dziwną dwójkę?

– Geopolityka! – odpowiedział pewnym głosem Felo. – Ona Angielka, on Albańczyk! – rozprawiał – ona brzydka, on dość przystojny! Ona daje mu szamę i kimę, płaci za ciuchy i inne zachcianki, od czasu do czasu jakieś playstation kupi. On rewanżuje się w inny sposób...

– To znaczy, on chce żyć, a ona bździć! – wtrącił spontanicznie Berni, tłumacz przysięgły na język chłopców ze szkoły zawodowej. W tym przypadku dosadność była jednak jak najbardziej celna...

Po półgodzinie przybiegł mocno podniecony Szymek, uściskom nie było końca. To typ człowieka, który nie zmienia się, żadne otoczenie nie jest w stanie wpłynąć na jego wygląd, charakterystyczny sposób mówienia czy zachowania. Wypiliśmy w czwórkę kilka piw i czuliśmy się prawie jak w „Smudze”. Szymek, ubóstwiający skupiać uwagę na swojej osobie, rozciągnął relację o pierwszym miesiącu pobytu w Anglii do jakichś monstrualnych rozmiarów czasowych, bął o pracy w magazynie, odległej od Buckby jakieś pięćdziesiąt kilometrów, o swoim pokoju w mieszkaniu pełnym Polaków, który wynajmuje od Kebabów, czyli Turków, w samym centrum miasta, o kolejnych nieudanych romansach w zakładzie pracy, o brzydocie Angielek, o podłości tutejszych alkoholi, mnie jednak utkwilo w pamięci jedno zdanie.

– Słuchaj, mieszkam z takim brudasem, Hindusem, i on, słuchaj, nie może już wytrzymać mojego brudu i powiedział, że chce się jak najszybciej wynieść. Wiesz, ja specjalnie syfię... – stwierdził z poważną miną, ale w celowość tych działań niespecjalnie jakoś wierzyliśmy. – Tak! Specjalnie! Bo jak się chłop wyprowadzi, kto wskakuje na jego miejsce? No kto??? – spytał z nieukrywaną dumą. – Już gadałem z Kebabami! – dodał jeszcze, podbudowując mój optymizm.

Czyżby wrodzone bałaganiarstwo Szymka mogłoby mi pomóc w szybszym znalezieniu jakiegoś mieszkania? Oby!

---

# Spis treści

1. Podróż	5
2. Czekając na Pati	23
3. U Kebabów	39
4. Indrit story	56
5. W robocie	80
6. Zmiany, zmiany...	98
7. Boruta	118
8. Ostatni weekend Berniego	153
9. Ona	176
10. Wystawka	214
11. Finałowy mecz	251
12. Ćpunek	268
13. Kino Polska	293
14. Konfrontacja	307